



**NIE
MÓW
DO
MNI**

kołochanie

GOSIA LISIŃSKA



GOSIA LISIŃSKA

**NIE
MÓW
DO
MNIE**
kochanie



Redaktorka prowadząca: Marta Budnik
Wydawczyni: Agata Ługowska, Olga Gorczyca-Popławska
Redakcja: Katarzyna Sarna
Korekta: Katarzyna Kusojeć
Projekt okładki: Łukasz Werpachowski
Zdjęcie na okładce: © romanolebedev, © djile,
© LIGHTFIELD STUDIOS, © Davide Angelini / Stock.Adobe.com
Zdjęcie na wyklejce: © FrauPixel / Stock.Adobe.com
DTP: pagegraph.pl

Copyright © 2025 by Małgorzata Lisińska

Copyright © 2025, Papierowe Serca an imprint of Wydawnictwo Kobiect
Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2025
ISBN 978-83-8417-125-7

Grupa Wydawnictwo Kobiect | www.WydawnictwoKobiect.pl



KAMA

Wąskie biurko wydawało się jeszcze mniejsze, kiedy siedział za nim mój – taką żywiłam nadzieję – przyszły szef. Dobra, z tą nadzieją ciut przesadziłam. Nie marzyłam przecież, żeby pracować dla niedoszłego męża mojej ciotki, ale przez ostatnie dwa tygodnie zaczęłam przywykać do tej myśli. Wcześniej, tuż po studiach, snułam plany o własnym klubie, o prowadzeniu zajęć, dzięki którym ludzie będą zdrowsi, silniejsi i bezpieczniejsi... Właśnie, bezpieczniejsi. Chciałam uczyć dzieciaki, jak się bronić i takie tam. Plany miałam rozległe.

Konto w banku jakby ciut niedopasowane do zamierzeń.

Skończyło się więc na powrocie do Gorzenia, do rodzinnego domu, i szukaniu pracy w Wadowicach. Niestety dla absolwentki AWF-u nie było tu zbyt wiele możliwości. A że nie chciałam żyć na garnuszku rodziców albo zależeć od trzech braci z piekła rodem, z wolna zaczęłam myśleć, że skończę w Biedronce albo jakimś Lidlu. Nie żebym nie szanowała ludzi tam pracujących. Po prostu chciałam robić

to, co lubię. Na szczęście zlitowała się nade mną ciotka Aśka i umówiła na rozmowę o pracę w jednej z czterech firm ochroniarskich działających w Wadowicach. Kilkanaście lat wcześniej jej właściciel, Arkadiusz Sobota, prawie wszedł do naszej rodziny. Niestety miał podówczas problem z zamkiem błyskawicznym. Sam się biedakowi rozpinał, szczególnie ten w spodniach. I tylko z tej przyczyny, rzecz jasna, ta część ciała, którą oglądać winna tylko jedna przedstawicielka płci przeciwnej, zawierała bliższe znajomości z przygodnymi pannami. A że Wadowice to nie Nowy Jork, znalazło się kilka uprzejmych osób, które doniosły Aśce o pasmante-ryjnych niedogodnościach jej narzeczonego. Miałam wtedy sześć lat, więc niewiele pamiętam, ale ponoć było ostro.

W sumie pojęcia nie mam, jakim cudem ciotka zdobyła się na to, by zadzwonić do eksa, bo do dzisiaj, mówiąc o nim, używała słów, których przeciętny żul by się nie powstydział. Albo i powstydział. Uszy więdyły.

Zawsze jednak, kończąc litanię ku czci łaciny podwórkowej, wzdychała z niejakim smutkiem, dodając: „Przystojny był, skurwiel”.

Stałam teraz w drzwiach biura niedoszłego wujka i z całym przekonaniem mogłam potwierdzić, że miłość jest ślepa. Cholernie ślepa.

Arkadiusz Sobota właśnie mijał czterdziestkę, ale nikt, kto go nie znał, nie dałby mu mniej niż pięćdziesiąt lat. Ledwie mieścił się w fotelu, koszulę zapiął chyba siłą woli, a ja i tak się bałam, że jeśli któryś z guzików strzeli w moją stronę, to oślepnę. Jeśli nie z powodu owego guzika, to z powodu widoku, który może mi się ukazać. Tak więc ludzik Michelin mógłby mu buty czyścić, gdyby się zaczęli licytować na liczbę fałdek.

– Siadaj, dziecinko. – Facet wskazał mi krzesło naprzeciwko siebie.

Nie znosiłam protekcyjnych dupków, a już w szczególności tego niby sympatycznego określenia. Nie zapowiadało się zatem dobrze. Zaraz jednak przypomniałam sobie żalną kwotę, która pojawiała się w mojej aplikacji bankowej, kiedy sprawdzałam stan konta.

Spokojnie, Kama. Gość prawie został twoim wujkiem. Pewnie dlatego ci dziecinkuje.

Usiadłam grzecznie, ułożyłam buźkę w uśmiech i czekałam. Sobota zaś studiował kartkę papieru, na której wydrukował sobie moje CV. Ze trzy razy przeniósł wzrok z tekstu na mnie, żeby znowu wrócić do życiorysu. Miałam wrażenie, że nie zainteresowały go moje wykształcenie, osiągnięcia sportowe czy nawet to dość nikle doświadczenie zawodowe, które posiadałam. Ewidentnie wbijał wzrok w zdjęcie i dane osobowe. Czyżby ciotka nie powiedziała, że jestem jej bratanicą? Bo pamiętać mnie nie mógł. Trochę się zmieniałam przez ostatnie osiemnaście lat, a losy Soboty po jego wykreśleniu z życia Aśki nie krzyżowały się już z naszą rodziną. Niby Wadowice to nie metropolia, ale i tak można się nie widzieć latami.

W końcu właściciel firmy o wdzięcznej nazwie AS-CHRON odłożył kartkę, cmoknął, mlasnął i zapytał:

– Ty jesteś ta mała od Ułomków?

Syknęłam gwałtownie. Jasne... mała. Oto ja: sto osiemdziesiąt centymetrów i siedemdziesiąt kilo samych mięśni, a wystarczy wrócić na stare śmieci, żeby usłyszeć „mała od Ułomków”. Już to pierwsze słowo mnie irytowało, a jeszcze nazwisko! Adekwatne po byku. Ni chu chu nie rozumiałam, dlaczego tatko go nie zmienił. Znaczy wiem

doskonale, że przy prawie dwóch metrach wzrostu i mięśniach, których mógłby mu pozazdrościć Alan Ritchson, miał radochę, przedstawiając się ludziom. Waldemar Ułomek. Jak nie ułomek, skoro Ułomek. Słyszałam to wiele razy, ale wciąż mnie nie bawiło. Chłopaków tak. Cała trójka wdała się w ojca, więc i moi bracia z dumą używali nazwiska. Nie pamiętam, żeby się znalazł choć jeden odważny, który by zarechotał po takiej prezentacji. Dla mnie to nie było śmieszne pewnie dlatego, że urodziłam się jako ostatnia z rodzeństwa. Najmłodszy z braci miał już wtedy osiem lat, a wyglądał na dwanaście. Dorastałam jako „mała od Ułomków”. Maleństwo, cholera. I nieważne, że zawsze największa w klasie. Tego tu też pewnie przerastałam o głowę. Co prawda siedział, odkąd weszłam, ale gdzieś widziałam fotkę, na której stał obok ciotki – był od niej kilka centymetrów niższy. A ja Aśkę przerosłam jeszcze w podstawówce.

Z tej przyczyny musiałam sobie powtórzyć... i to tak z trzy razy: „Oddychaj, Kama, oddychaj. Pomyśl o koncie. Bądź grzeczna”.

– Nie wydaje mi się, by to określenie do mnie pasowało – warknęłam. Bardzo grzecznie.

Sobota przesunął spojrzeniem po mnie. I zrobił to w zdecydowanie niewujkowy sposób.

– No, chyba nie. – Uśmiechnął się krzywo. – Długaj nie wspominał, że to chodzi o Ułomkównę. – Podrapał się po głowie.

Długaj? Pamiętałam jakiegoś fagasa Aśki o takim nazwisku. Czyli ciotka jednak nie zadzwoniła sama. Cóż, nie ma się co dziwić. W końcu mogłaby zacząć od łaciny i do meritum w ogóle by nie dotarła.

– Wiesz, w sumie to się przydasz. – Niedoszły powinien pokiwać głową z zadowoleniem. – A i Aśka może przestanie spluwać, kiedy przypadkiem mnie na mieście zobaczy. Zrobiła mi taką famę, że żadna baba na metr się nie chciała zbliżyć. Matka się do mnie przez lata odzywała tylko przez siostrę, a ojciec do dzisiaj żąda jakichś odsetek od tego wesela, co to je musiał opłacić. Jakby to była moja wina, że się uparł pokryć koszty – fuknął. – Ja tam się ze ślubu nie wycofałem. Jakbym księdzu obiecał, tobym dotrzymał. A co przed ślubem, to się nie liczy. Jeszcze obrączek żeśmy nie mieli. Mogłem się zabawić. Przecież to nie miało znaczenia. Zupełnie nie. A ta głupia zrobiła larum, jakbym jej druhnę przed ołtarzem w świątyni ujeżdżał...

Szczęka mi opadła ze zdumienia. Sobota się nakręcał. Najwyraźniej nie tylko dla ciotki wspomnienia wciąż były żywe. Chociaż jego wizja zdecydowanie różniła się od tej, którą znałam z jej opowieści.

– Wszystkie te baby durne w chuj! – podsumował niedoszły wujaszek i trzasnął grubą łapą w blat.

Zrobiło mi się żal mebla. Wyglądał na lichutki, jeszcze kilka takich spotkań prezesa Soboty i trzeba będzie kupować nowe biurko.

Mężczyzna odetchnął. Zmrużył oczy i wrócił do właściwego tematu:

– Tak że... ten... mała. Przydasz mi się, jak wspomniałem. Ciotce tylko powiesz, żeby już dała spokój. Niech z moją matulą pogada, coby mi przestała do rosołu soli dosypywać, bo jak tak dalej pójdzie, to będę musiał się na mieście żywić. Już i tak przez tę jej dietę wyniki mam gówniane. I z ojcem też niech Aśka pogada. Z moim. O tych odsetkach. A ja cię przyjmę. Na sekretarkę.

Gapiałam się na gościa przez dobre pięć sekund, zanim zrozumiałam sedno jego wypowiedzi. I właściwie nie wiem, co mnie bardziej zaskoczyło. To, że jest obrażony na ciotkę o bezpodstawne jego zdaniem zerwanie zaręczyn (w końcu to, że przeleciał połowę Gorzenia, to nie powód, skoro zrobił to przed ślubem), czy może fakt, że gość jest po czterdziestce i wciąż mieszka z rodzicami, czy ta sekretarka.

– Sekretarkę? – powtórzyłam słabo.

– A coś myślała? – zdziwił się. I zaraz uprzedził moją odpowiedź: – Przecież całe miasto wie, że mała od Ułomków jest nietykalna. Jakbym cię wysłał do akcji, toby mi któryś z tych twoich waligórow jaja utracił. Wystarczy, że jak się zwiedzieli, dlaczego Aśka ślub odwołała... Manto mi sprawili, a ledwie im się wtedy wąs sygnął. – Otrząsnął się lekko, po czym wielce z siebie zadowolony podsumował: – To co, mała, mamy deal? Wyrosłaś na ładniutką dupę, to przynajmniej jak się jaki nowy klient napatoczy, nie będzie go straszyla ta dziewczucha, co to mi ją z pośredniaka przysłali. Co do kasy też się dogadamy. Zapłacę uczciwie. Nie będziesz żalowała.

Oddychałam zgodnie z techniką, której mnie nauczyle na jednym ze szkoleń z panowania nad gniewem. Oddychałam i oddychałam... aż po raz enty doszłam do wniosku, że te szkolenia to o kant dupy potłuc.

– Nie. – Wyprostowałam się i napięłam umięśnione ciało. – Dealu nie będzie. Do twojej matuli mogę zadzwonić. Co się ma kobiecina po sklepach pałętać w jej wieku. Sama chętnie dostarczę jej wymaganą ilość soli. A nawet dorzucę coś ekstra. – Pochyliłam się nad zdębiałym Sobotą i odsłaniając kły, dokończyłam z warknięciem: – A jak jeszcze raz powiesz do mnie mała albo dziecinko, gnomie jeden, to ci pokażę, od kogo się moi bracia uczyli prawego sierpowego.

Po czym wyszłam, trzaskając drzwiami.

Dopiero kiedy znalazłam się na zewnątrz, pomyślałam, że gość pewnie nie ma pojęcia, co to gnom.

* * *

Dom dziadków właściwie nie różnił się od pozostałych wybudowanych przy jednej z ulic w Gorzeniu Dolnym. Nie skalano go frywolnością typu taras, spadzisty dach, rolety, jakieś wieżyczki. Był prostym graniastosłupem o ciemno-żółtej elewacji, z dwoma wgłębieniami na balkony, po jednym na piętro, i kwadratowymi oknami upiększonymi białymi firankami. Kiedyś miał ponoć tylko parter, potem dziadek dobudował piętro, a tata wzbogacił klocek o jeszcze jedną kondygnację. Każde pokolenie miało tu swój poziom, ale i tak całe rodzinne życie sprowadzało się do wielogachnej kuchni babci Alicji. Na parterze, oprócz kuchni, mieścił się też niemały salon, ale w nim goszczono, zdaje się, tylko księdza, kiedy pojawiał się z okazji kołędzy. Reszta gości zasiadała w kuchni przy wiekowym stole, stojącym między meblścianką pamiętającą rządy Edwarda Gierka a kaflowym piecem w nijakim kolorze, który babcia nazywała z dumą oliwkowym, a moja mama, za jej plecami, sraczkowatym.

Nestorka rodu Ułomków, która w ubiegłym roku obchodziła osiemdziesiąte urodziny, wciąż rządziła w domu twardą ręką, kontrolując tych krewnych, którzy nie zechcieli się wynieść z rodzinnej siedziby. To znaczy mojego tatka, mamę, mojego brata i mnie... W sumie nadzorowała również i tych dwóch braci, którzy się wyprowadzili, bo bywali w domu wystarczająco często. Za to mnie traktowała

najłagodniej. Ostatecznie byłem jej jedyną wnusią, ukochaną, wylulaną i w ogóle. Przynajmniej tak twierdzili moi bracia. Trudno było mi z tym dyskutować, bo faktycznie uchodziło mi znacznie więcej niż im. W dupę dostałam tylko raz, kiedy stłukłam jakiś kryształ w salonie. Do dziś nie pamiętam, co ja tam w ogóle robiłam. Z uników braci, kiedy ich o to ostatnio pytałam, wynikało, że zapewne to któryś z gnojków mnie podpuścił. A raczej wszyscy trzej, bo na palcach jednej ręki można policzyć sytuacje, w których nie trzymali sztamy. Kiedy wspomniałam tamto łanie, zgodnie zasznurowali usta. Tylko Antek ostatecznie mi przypomniał, z niemalym rozżaleniem w głosie, że i tak miałam szczęście, skoro mnie babcia tylko trzasnęła lekko ścierką przez tyłek, gdy oni przez tydzień musieli czytać jakieś badziewne książki dla dziewczuch. To był najcięższy rodzaj kary z tych, jakie narzucała im mama. Chyba byli jedynymi chłopakami w Gorzeniu, którzy dzięki swojemu rozbrykaniu znali losy Ani z Zielonego Wzgórza. I jej dzieci również. Mamusia dopilnowała, żeby czytali ze zrozumieniem. Odpytywała ich z treści lektury w obecności milczącego taty. A ojciec miał poważanie niemal równe z babcią Alicją. I nie musiał przy tym używać ścierki.

Zaparkowałam moją ukochaną yarisę przed domem, pomiędzy dwoma czarnymi SUV-ami i wiekowym mustangiem. Nie od razu wysiadłam. Odkąd opuściłam siedzibę AS-CHRON-u, walczyłam z kolejnymi falami to wściekłości, to rozżalenia. Widok samochodów braci przywołał tę pierwszą, i to z taką mocą, że aż brakło mi tchu. Ponownie spróbowałam tej nieszczęsnej techniki ze szkoleń. Oddychałam i liczyłam, a jedyne, czego się doliczyłam, to ile klubów i siłowni z okolicy odwiedziłam ostatnio

z pytaniem o pracę. Z tego, co usłyszałam od Soboty, wywnioskowałam, że te wszystkie odwiedziny były jak techniki oddechowo-relaksacyjne – pomagały jak umarłemu kadzidło. Matołki zwane moim rodzeństwem najprawdopodobniej rozpuściły wici, że ich malutkiej siostrzyczki nie wolno przyjąć na jakieś ryzykowne stanowisko.

Cholera jasna! Od piętnastu lat ćwiczyłam krav magę, kick boxing i boks tajski, a oni się teraz obudzili, że mogą przez to oberwać. Teraz?! A gdy przychodziłam z treningów poobijana...

Zaraz, ja nigdy nie przyszłam poobijana do domu. Dopiero na studiach, na pierwszych zajęciach w krakowskim klubie jeden chłopak trochę za ostro mnie potraktował. Pamiętam, bo jakoś tak się złożyło, że Bartek wpadł mnie odwiedzić i gdy zobaczył siniaka, dostał furii. Rzuciłam mu wtedy, że mieć coś takiego pierwszy raz po tylu latach to i tak zajebiście. Brat nie przyjął tego do wiadomości. Za to chłopak, któremu zawdzięczałam śliwę, już nigdy później nie chciał ze mną walczyć. I też wyglądał na nieco poturbowanego na kolejnych zajęciach... Już wtedy podejrzewałam, że to sprawka najstarszego Ułomka, ale gostek z klubu zaprzeczył.

Teraz byłam pewna. Gnojki rozpostarły nade mną jakiś durny parasol ochronny. Robili za potrójnego anioła stróża. Katecheta z technikum umarłby ze śmiechu. Jak to on napisał im w zeszycie? Że albo są blisko spokrewnieni z władcą piekieł, albo złożyli podanie na jego przybocznych. Tymczasem moi piekielni braciszczkowie aspirowali do boskich opiekunów własnej siostry. Cholera jasna! Kto im dał prawo, do diabła?!

Gdzieś tam zamajaczyło mi, że pewnie chcieli dobrze, ale tę myśl zaraz zagłuszyła złość. Nikt nie będzie decydował

o moim życiu! Nikt! Jestem, kurde, dorosła! Mogę robić, co mi się podoba! O ile, oczywiście, znajdę na to kasę.

Dobra, nie będąc rozkminiała, skąd ją wziąć. Nie kiedy powinnam się skupić na awanturze, którą zamierzam urządzić w domu. Bo taki mam plan! Zrobię gnojkom taki wykład, że zapomną, jak się nazywają.

Z tą myślą wyszłam wreszcie z wozu i wściekle zamknęłam drzwi. Zatrzymałam się na sekundę, słysząc głośnie trzaśnięcie. Z poczuciem winy pogłaskałam czerwoną karoserię staruszki. Głupia Kama. Trzaskać należy tych tam po mordach, a nie biedniutkie autko. Kochana yariska, niewiele ode mnie młodsza, służyła mi, odkąd skończyłam osiemnaście lat. Dostałam ją od całej rodziny, ale pomysł był braci.

To wspomnienie jakby przytłumiło złość. Przed oczami zamajaczył mi obraz samochodu z wielką osiemnastką przyklejoną na dachu i trzech wyszczerzonych wielkoludów, każdy z butelką wina zamiast kwiatka. Akurat byłam na etapie *Władcy Pierścieni*, więc nazywali się moją drużyną. Ależ byłam wtedy dumna. Wszystkie koleżanki mi ich zazdrościły, a w pewnym momencie miałam ich wokół siebie bardzo dużo. Znaczą koleżanek. Większość zabiegała o moją przyjaźń z powodu tych trzech dupków. Gdy dziewczyny się orientowały, że chłopaki nie zamierzają się umawiać z moimi znajomymi, raptownie znikają. Do matury wykruszyły się wszystkie. Nie płakałam nad tym, bo właściwie znacznie lepiej dogadywałam się z facetami. Mając naście lat, nie rozumiałam rówieśniczek. Nie pojmowałam, po co kupują tyle ciuchów, po co się pacykują i o co to całe zamieszanie z chłopakami. Mnie wystarczały dwie pary dresów, kilka dżinsów, bluz i T-shirtów. W szafie wisiały co prawda dwie sukienki, ale dlatego, że mama

się uparła. W wolnym czasie biegałam do klubu, w którym ćwiczyli moi bracia, a najlepszym rodzajem rozrywki było rzucenie jakiegoś dupka na matę.

Ledwie o tym pomyślałam, wróciła złość. Uświadomiłam sobie, że pewnie ci goście, których rzuciłam na matę, w większości po prostu pozwolili mi na to w obawie przed wielką trójcą.

– Zatlukę dupków! – warknęłam, idąc wybrukowaną ścieżką w stronę domu.

Trzy samochody obok mojej yariski oznaczały, że znajdę potencjalne ofiary w jego wnętrzu, co wcale jednak nie było pewne. Z piekielnych trojaczków tylko najmłodszy Antek wciąż mieszkał na drugim piętrze, naprzeciwko mojego pokoju. Starszy ode mnie o jedenaście lat Bartek nie wrócił do domu po studiach, a dwa lata od niego młodszy Jarek opuścił rodzinne gniazdo przed pięcioma laty. Obaj wynajmowali mieszkanie na osiedlu Pod Skarpą, ale i tak wpadali do nas przynajmniej dwa razy w tygodniu na obiad. Głównie wtedy, gdy mieli nocki.

Już w wiatrolapie usłyszałam nie do pomylenia z czymkolwiek dźwięki tłuczenia kotletów, a w korytarzu dotarł do mnie cudowny aromat rosółu. Niedziela w środku tygodnia. Święto jakieś czy co? W rodzinie Ułomków klasyczny polski obiad podawano przecież tylko z takiej okazji. Pewnie dlatego zdziwienie połączone z napływającą do ust śliną jakby nieco osłabiły furię, a ja nie wparowałam rozpedzona niczym czołg do kuchni.

Bartek rozbijał kotlety, Jarek obierał ziemniaki, a Antek kroił ogórki na mizerię.

Nie wspominałam, że sami robili te obiady, na które przyjeżdżali? To właśnie wspomynam. Może nie byli

najlepszymi kucharzami w okolicy, ale ich kobiety nie umarłyby z głodu. A uwaga o jakości ich gotowania nie dotyczyła rosółu. W tym byli mistrzami. Zwłaszcza Jarek. Nie miałam pojęcia, co on tam dodawał, ale nawet babcia Alicja w tym temacie ustępowała mu podium.

Zatrzymałam się w progu rozdarta między ssaniem w żołądku a chęcią wybicia każdemu jedynek. Tych, które tak wyszczerzyli, gdy wreszcie mnie dostrzegli.

– Cześć, kruszyna – rzucił Bartek i odłożył tłuczek.

Zdecydowanie nie to powinienam usłyszeć, żeby zatrzymać falę wznoszącą. Tę od furii. Odetchnęłam głęboko, zacisnęłam pięści i odsłoniłam zęby w czymś, co nawet przy dużej dozie wyobraźni trudno uznać za uśmiech. Przypominało to raczej grymas ściśle powiązany z zaparciami. A zrobiłam to i nie wylałam z siebie od razu całej żółci jeżdżącej mi po flakach, bo pomyślałam o babci. Nie widziałam jej w pobliżu, ale może jednak gdzieś się kryła. Rodzice o tej porze byli w pracy, więc tylko jej ewentualne towarzystwo mnie ograniczało.

– Stało się coś? – zaniepokoił się Antek. – Wyglądasz nieszczęśliwie.

– Jak Bartuś, kiedy się obzarł tym bigosem, co to już zaczął fermentować – przypomniał Jarek.

– Bo trzeba go było wypierdolić, a nie na kuchence zostawiać – warknął wymieniony.

– Sam żeś go zostawił, a ja za twoją gospozię robić nie zamierzam. Od tego masz te dupy, które codziennie wylają ci z wyra.

Bartek uśmiechnął się szeroko, za to w sposób, jaki bynajmniej nie licował ani z jego stanowiskiem, ani faktem, że patrzy na niego młodsza siostra.

– One, braciszku, świadczą mi całkiem inne usługi.

Okej... Miałam odpowiedź na nurtujące mnie pytanie. Żaden z dupków nie użyłby łaciny podwórkowej w zasięgu słuchu babci. Czyli nie było jej w domu.

Znaczy mogłam sobie pozwolić.

– Dobra, zmutowane kozie bobki! – wrzasnęłam. – Który wymyślił, żeby mi straszyc pracodawców?!

* * *

Obiad przebiegał w iście grobowej ciszy. Rodzice przyglądali się nam w skupieniu, ale żadne nie zapytało, o co poszło. Przywykli. Babcia siedziała u szczytu stołu i drzemała z głową wspartą o zagłówek jedyne fotela w kuchni. Kilka lat wcześniej stwierdziła, że nie widzi powodu, żeby kisić tyłek na twardym siedzisku stołka, i kazała tacie przytargać z salonu fotel, w którym zwykle siadywał ksiądz, gdy wpadał na kolędę. To, po pierwsze, podniosło standard życia mojej babuni, gdyż, jak wspomniałam, większość czasu spędzała w kuchni. Po drugie, jak zwykła powtarzać, zbliżyło ją do Kościoła, bo w salonie zostały tylko dwa niewielkie puffy i wąska sofa, na której babcia siada z przedstawicielem tejże instytucji kolanko w kolanko. To był jedyne rodzaj zbliżenia, gdyż poza tym nestorka obraziła się ciężko na Pana Boga, kiedy dziadunio odszedł do lepszego ze światów – od tego czasu jej noga w Domu Bożym nie pozostała. A księdza po kolędzie wpuszczała głównie po to, by doprowadzać biedaczynę do szału rozlicznymi pytaniami, niejednokrotnie ocierającymi się o bluźnierstwo. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby proboszcz wysyłał do nas podwładnych za karę. Każdy z nich bowiem już na wejściu zdawał się intensywnie

modlić. Moi rodzice od lat starali się znaleźć pretekst, by nie uczestniczyć w tych odwiedzinach duchownego u babci, ale nas, braci i mnie, kilka razy spotkała ta wątpliwa przyjemność. Żal brał, kiedy się patrzyło na takiego biedaka zapędzonego w kozi róg przez piekielną staruszkę.

Tę samą, która z niewinną miną najśłodszej babci we wszechświecie ucinała teraz komara w uszaku.

– Z jakiej okazji takie mecyje? – Tata wreszcie uznał, że należy przerwać ciszę.

– Jakie mecyje? – Bartek wzruszył ramionami. Lekko się przy tym skrzywił, bo wykręcona przeze mnie ręka musiała mu dokuczać. – Obiad jak obiad.

– Świąteczny – zauważył najstarszy Ułomek. – A o ile nie świętowaliście faktu, że siostra potrafi wklepać każdemu z was tak, że prawie śladu nie zostawia, to ciekawi mnie powód.

Chłopaki spuścili oczy, za to ojciec z nieukrywaną dumą mrugnął do mnie.

– Jak to wklepać? – zainteresowała się mama i jakby mocniej skupiła uwagę na fizjonomiach starszych potomków.

Cóż, tym „prawie śladu nie zostawia” tata trochę nadinterpretował fakty. Na ramieniu Bartka zaczerwienienie już zaczynało nabierać głębszej barwy, tak jak i śliwa pod okiem Antka, a sądząc po pełnej dolnej wardze trzeciego brata, można by zacząć szukać jakichś afrykańskich naleciałości w naszych genach. Ja też starałam się trochę oszczędzać prawicę, bo dupki miały zakute łby i co nieco nadwyreżyłam rękę.

– Biliście się?! – Niestety rodzicielka nie podzielała zachwyków drugiej połowy. – W domu?!

– Tam zaraz biliśmy – wymamrotał Antek. – Wymieniliśmy poglądy i tyle.

– I od tego wymieniania poglądów gęba ci puchnie? – nie odpuszczała.

– Za moszno pszy swoim opsztawał – wyseplenił Jarek, starając się nie ruszać obolałymi ustami.

– Ty zamiast bzdury gadać, skocz po łód do zamrażarki – poleciała mama i zaraz zwróciła się do mnie: – Kama! Dlaczego pobiłaś braci?

Przynajmniej ona jedna w tym domu nie widzi we mnie maleństwa.

– Weż, mammo... – obruszył się Bartek, chociaż jakoś bez przekonania.

– Co „weż, mammo”? Kto to widział, żeby młoda kobieta tłukła się z mężczyznami? W końcu trafi na takiego, który jej odda...

Zaraz, zaraz. To ona też wiedziała?

– Wiedziałaś?! – oburzyłam się błyskawicznie.

Mama zamruwała zdziwiona nagłym atakiem.

– Co miałam wiedzieć?

– Że mnie oszczędzają! Łażą po ludziach i ich straszą! Nie mogę pracy znaleźć, bo całe Wadowice wiedzą, że tylko na biurwę wolno mnie przyjąć! Bo ja niby jestem ta mała od Ułomków. Maluteńka, jasna cholera. Nikomu nie wolno na mnie ręki podnieść. Całe życie pod jakimś pieprzonym kloszem. Nikt mnie nigdy nie tknął, bo się bał moich braci! Gorzeń, Wadowice, pewnie nawet w Krakowie wystraszyli wszystkich z klubów, do których chodziłam. Nigdy od nikogo nie oberwałam, bo mam trzech lucyferów w rodzinie. Wszyscy się ich boją...

Krzyczałam i krzyczałam, aż zaczęło do mnie docierać, jakie głupoty wygaduję. Zagryzłam więc usta i umilkłam. Mama w tym czasie patrzyła na mnie, a jej mina zmieniała

się z poirytowanej na coraz bardziej rozbawioną. Przemknęła wzrokiem po pochylonych głowach synów, by ostatecznie zwrócić się do taty:

– Rozumiesz, o co jej chodzi? Bo chyba nie o to, że bracia się nią opiekują i nie pozwalają jej skrzywdzić, prawda?

– Z całą pewnością nie o to. Prawda, kruszyno? – Popatrzył na mnie, a w jego szarych oczach błyszczała niczym nieskażona złośliwość.

Któryś z chłopaków parsknął cicho. Pewnie Bartek, bo to jemu przyłożyłam za kruszynę. Wszystkim lekko drżały barki, więc albo solidarnie zachorowali na jakąś odmianę gorączki, albo po prostu próbowali zapanować nad śmiechem.

– Nie o to! – warknęłam. – Tylko o to, że nikt mnie w tym domu nie traktuje poważnie. Powinnam mieć prawo do życiowych wyborów. Nawet takich, przez które ktoś może mi przylać. Jestem w końcu dorosła. Jeśli chcę pracować jako trenerka sportów walki, powinnam móc to robić. A przez nich – wskazałam winowajców, którzy spowaznieli, kiedy tylko spuściłam z tonu, a w moim głosie zaczął pobrzmiwać żal – w żadnym klubie nie chcieli mnie przyjąć. I nawet ten durny palant zaproponował mi tylko pracę sekretarki, bo jego zdaniem ładna dupa ze mnie wyrosła – wymamrotałam na zakończenie.

Na te słowa błyskawicznie poderwały się w górę trzy głowy.

– Sobota tak powiedział? – zapytał zimno Antek.

Potaknęłam w milczeniu.

– Aha – zauważył równie chłodno Jarek.

Bartek tylko zmrużył oczy.

Tata zauważył wymianę spojrzeń braci i uznał, że należy interweniować:

– Przypominam, panowie, że starszych się nie bije, a trzech na jednego to niehonorowo.

Chłopcy zachnęli się jednogłośnie i wcale im się nie dziwiłam. Akurat w temacie honoru niczego nie można było im zarzucić. Byli bezgranicznie uczciwi i absolutnie przestrzegali zasad. Wychowanie Ułomków.

– Niehonorowo – prychnęła babcia, unosząc jedną powiekę. – Dupa tam, a nie niehonorowo. Akurat tego konusa to powinien ktoś szacunku do kobiet nauczyć. A że kurdupel tylko argumentom siłowym hołduje, to i błogosławieństwo chłopcy macie, żeby takowych użyć.

– Mamo! – oburzyła się jej synowa, a nasza rodzicielka.

Babcia Alicja otworzyła i drugie oko.

– Co „mamo”? Przecież wiadomo, że chłopaki wiedzą, jak bić, żeby się nikt nie skapował, że to oni, nie?

– Mamo!

– Czegoś ich te szkoły nauczyły – perorowała babunia z błyskiem w oku.

– Jezus Maria, Waldek, powiedz coś!

Zdezorientowany tata przestał się uśmiechać. Chyba nieco go przygniotła klasyczna pozycja między młotem a kowadłem. Z jednej strony matka, z drugiej żona. Nie żeby pierwszy raz kobiety jego życia kazały mu wybierać. Rozejrzał się nerwowo w poszukiwaniu pomocy, ale synowie nie zamierzali się wychylać, a ja skupiłam się na innym problemie.

Oto bowiem uświadomiłam sobie, że nie mogę winić braci. Przykład szedł z góry. Mama też najwyraźniej nie zauważyła, że jej synkowie już jakiś czas temu skończyli trzydziestkę, więc potrafią samodzielnie podejmować decyzje i nie trzeba ich wychowywać. Ba! Już się nie da.

Babcia przyglądała się jednemu synowi z jawnym rozbawieniem. Specjalnie rzuciła mu ogromną kłodę pod nogi i teraz obserwowała, czy się na niej wyłoży. Ostatecznie jednak, kiedy pierwsze krople potu zaczęły rosić jego czoło, babunia podniosła się ciężko.

– Kamcia, chodź no, dziecko, mi pomóż. W krzyżu mnie cholernie łupie, wyprostować się nie mogę. Gówniana ta starość. No, chodź, dziecko, chodź.

Zagapiłam się na nią zdumiona. Jeszcze przed sekundą wyglądała znakomicie i nagle się zgarbiła, powłóczyła nogami... Zupełnie jak nie ona. Podbiegłam zatem szybciotko, a babcia Alicja wsparła się na mnie niczym prawdziwa starszuszka. Zupełnie jak nie ona.

Ledwie jednak wyszłyśmy z kuchni, łupanie w krzyżu cudownie ustąpiło, a i problem z wyprostowaniem się magicznie zniknął. Babunia złapała mnie za rękę i pociągnęła w stronę swojej sypialni z taką mocą, że ledwie utrzymałam równowagę. Wepchnęła mnie do środka i zamknęła za nami drzwi na klucz. Później szybciotko ruszyła do swojej komody z bielizną.

Kiedy już myślałam, że ta starość, o której wspominała, bardziej zaszkodziła jej intelektowi niż zdrowiu fizycznemu, babcia wyciągnęła spomiędzy gatek dużą szarą wypchaną kopertę. Uśmiechnęła się triumfalnie, po czym położyła pakunek na kapie swojego łóżka.

– Pamiętasz, Kamcia, wujka Bronka? – rzuciła, siadając obok koperty. Poklepała przy tym miejsce po drugiej stronie pakunku w zrozumiałym dla każdego geście zachęty do zajęcia miejsca.

Popatrzyłam na nią zdumiona. Wujek odwiedzał nas na Wielkanoc. Co go miałam nie pamiętać?

– Taki starszy pan z sumiastymi wąsami? – zażartowałam, siadając.

– Ano! – Babcia chyba nie złapała dowcipu. – Jak byłaś mała, to się za moją spódnicą chowałaś przed nim. Mówiłaś, że cię drapie tymi kudłami. I dziwne nie jest, bo szczecinę miał pod nochalem, że by mu niejeden Zagłoba pozazdrościł.

Z ciekawości, do czego staruszka zmierza, nie próbowałam tłumaczyć, że Zagłoba był jeden jedyny.

– Ale jak nie liczyć tego straszdyła, co to sobie pod nosem wyhodował, to dobry jest z niego chłop – kontynuowała babcia. – No i jeszcze jak mu zapomnieć, że mi siostrę na drugi koniec Polski wywiózł. Bo na Śląsku mieszkali. Pamiętasz?

– W Tychach. Byłyśmy razem u nich kilka razy – potaknęłam, nie komentując babcinego pojęcia o drugim końcu naszego ukochanego kraju. Jak pamiętałam, do Tychów chyba nie było nawet stu kilometrów.

– A może i w Tychach. Wypadło mi z pamięci, a i nie-specjalnie mnie obchodziła nazwa tej miejsciny. Adres mam zapisany, żeby im wysyłać kartkę na święta. – Zerknęłam do kredensu stojącego obok okna, ale nie ruszyła się, żeby sprawdzić. – Bronuś górnikiem był, to i nie dziwne, że na Śląsk ich wywiało. W kopalni pracował. Pieniądzy im nigdy nie brakowało. Tym bardziej że dzieci się nie doczekali i wydawać nie było na kogo. Halinka to chciała świat zwiedzać, jak już oboje na emeryturę pójdą. Broniek mógł wcześniej, ale czekał, kiedy i ona pójdzie. I się nie doczekał, bo Halce się zmarło. – Westchnęła. – Ty toś jeszcze wtedy w pieluchy robiła. Halka młodsza była ode mnie, ale zdrowia nie miała wcale. No i szwagier zupełnie sam został, chociaż jakieś baby się tam przy nim kręciły... – Sposób, w jaki się uśmiechnęła, sugerował, że osobiście zadbała, by rzezione baby zniknęły

z horyzontu. – Jak jeszcze Halinka miała się dobrze, to kupili kilka mieszkań, bo to zawsze pewniejsze niż jakieś banki.

Nadal nie bardzo rozumiałam, do czego zmierza babunia. Nie znałam historii ciotki Haliny. Odkąd pamiętałam, wujek wpadał do nas sam. Był drobnym, niewysokim mężczyzną z sumiastym wąsem, siwym, ale zadbanym. Z wujka był elegancik. Zawsze w garniturze, zawsze pod muszką. Wydawało mi się, że jest młodszy od babci, gdyż ruszał się z ogromną werwą. Nieustannie się uśmiechał, często żartował i lubił ze mną rozmawiać. Z chłopakami jakoś mniej.

– Halinka to miała do ciebie słabość, Kamcia. – Babcia chyba zmierzała do sedna. – Nie możesz pamiętać, ale jak się urodziłaś, to przyjeżdżała bardzo często. Husiała cię, bawiła, na spacerki po wsi wózkiem woziła. Oboje z Bronkiem bardzo żalowali tej swojej bezdzietności. On nie ma innej rodziny, więc wy byliście najbliższymi im dzieciakami. – Palcami musnęła pieszczotliwie paczuszkę leżącą między nami. – Kochali całą czwórkę, ale ciebie najbardziej. To Halinka wymyśliła tę kruszynkę, co to się przez nią tak pieklisz. – Poklepała mnie po dłoni, a później szybko wcisnęła w nią wypchaną kopertę. – Broniek przywiózł na Wigilię w zeszłym roku. Powiedział, żebym dała, jak będzie trzeba. A mnie się zdaje, że właśnie teraz ci trzeba.

Zdumiona przenosiłam wzrok z babci na pakunek i z powrotem.





– No, czego tak gapi? Weźmie i otworzy. Ja wiecznie żyć nie będę. Zobaczyć chcę, co tam ma – wyburczała staruszka.

Skoro tak grzecznie prosiła...

SIĘGNIJ PO WIĘCEJ



**Papierowe
Serca**

-  Wydawnictwo Papierowe Serca
-  wydawnictwopapieroweserca
-  papieroweserca
-  papierowe_serca